

Łukasz Maślanka: O mitach i realiach współczesnej Polski

Totalitaryzmy dotknęły Polskę w ten sposób, że pozbawiły ją pięknej warstwy radykalnej inteligencji, która potrafiła patrzeć na rzeczywistość w sposób racjonalistyczny, ale dla ogółu społeczeństwa nieobraźliwy; czasami może paternalistyczny, ale i altruistyczny – pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czy jesteśmy zdolni porzucić PRL?

Alain Besançon w jednej ze swoich analiz komunizmu stwierdza, że jest on w gruncie rzeczy niebytem. Prawdziwa jest natomiast chęć utrzymania władzy przez grupę rządzącą. Konieczności z tym związane sprawiają, że elita ta musi od czasu do czasu zmniejszać nasycenie życia społecznego ideą komunistyczną, gdyż jej nadmiar prowadzi do zaniku społeczeństwa, życia, a w konsekwencji do utraty władzy. Modelowym przykładem, jak wskazuje prof. Besançon, jest Demokratyczna Kampucza, gdzie wskutek nadmiernego nasycenia życia ideą wyginęła połowa narodu, zaś Czerwoni Khmerzy zostali wypchnięci przez bardziej pragmatycznych agentów wietnamskich. Polskie przełomy (1956, 1970, 1980, 1989 roku) wydają się również każdorazowo wpisywać w tę potrzebę „dosypania” realiów do coraz bardziej erodującej rzeczywistości idei. Specyfika polskiego społeczeństwa – jakże różnego od nacji azjatyckich, czy nawet narodu rosyjskiego – sprawiała jednak, że nasycenie realiami, nawet w najtrudniejszych latach przyspieszonej stalinizacji, było na tyle duże, że wytwarzało swego rodzaju podskórne życie gospodarcze, duchowe,

polityczne, rodzinne i intelektualne, do którego kwas idei nie miał dostępu. Zalety tego stanu rzeczy są oczywiste: Polacy ocalili swą tożsamość, uratowali się przed masowym głodem, uniknęli hordyzacji, naturalnej konsekwencji rozstroju samoczynnie istniejących w społeczeństwie relacji (rodzinnych, towarzyskich, zawodowych). Istnienie takiej „podskórnej” normalności ma jednak poważne wady, które rzutują do dziś na polskie życie publiczne oraz na indywidualną egzystencję każdego z nas.

Oczywistą konsekwencją życia w nielegalności jest traktowanie państwa jako wroga. Zjawisko to jest typowe nie tylko dla krajów postkomunistycznych, lecz także narodów mających za sobą doświadczenie kolonizacji (kraje afrykańskie, Ameryka Łacińska) lub długotrwałego życia pod obcą władzą (Włochy). Wrogość ta działa w dwóch kierunkach: obywatele (niedawni poddani) naruszają przepisy prawne w zakresie, który uznają za niezbędny dla utrzymania normalności (dobrobyt rodziny, prowadzenie działalności gospodarczej, poszerzenie sfery osobistej wolności), natomiast urzędnicy mają skłonność do prywatyzowania powierzonej im władzy dla realizacji podobnych celów. Konsekwencją uwolnienia społeczeństwa z gorsetu przepisów, będących wcześniej wyrazem komunistycznej idei, jest darwinistyczny wyścig do zajęcia najkorzystniejszych ze swojego punktu widzenia miejsc. Brakuje zaufania, które jest smarem prawidłowo funkcjonującej maszyny społecznej i państwowej. Politycy reprezentujący poszkodowane w wyniku tego wyścigu grupy społeczne mają skłonność, osiągnąwszy władzę, do zastępowania tego niezbędnego, choć niemożliwego do odgórnego zadekretowania czynnika, atrapą nowych, równie szczegółowych regulacji oraz represji karnej.

Pojawia się także potrzeba zastąpienia upadłego mitu komunistycznego innym, w ramach którego stronnictwo „reformatorów” upatruje szansę na wytworzenie takiego naturalnego „smaru” udrażniającego działanie maszyny społecznej i państwowej. W warunkach polskich takim mitem jest polityczny katolicyzm. Mityczność politycznego katolicyzmu polskiego należy stanowczo oddzielić od religii katolickiej, która jest główną ofiarą tego typu operacji politycznych (podobnie jak stała się nią we frankistowskiej Hiszpanii czy w ogarniętych przez teologię wyzwolenia krajach Ameryki Łacińskiej). Polski katolicyzm polityczny jest w istocie zestawem talizmanów, których ekspozycja ma działać korygująco na dość bezrefleksyjne (także w wymiarze religijnym) społeczeństwo. Funkcjonalnie ma zatem spełniać rolę podobną do tej, jaką wyznaczono idei komunistycznej w warunkach realnego socjalizmu – uwierzenie w prawdziwość mitu miało doprowadzić do jego spełnienia. Tego typu oddziaływanie musi się spotkać z kontrakcją opisaną w poprzednich akapitach: skoro zadaniem mitu jest korodowanie naturalnie istniejących procesów społecznych (często, w istocie, mających wymiar patologiczny, tak samo jak pełen patologii był XIX-to wieczny kapitalizm, na który reakcją był komunizm), to pogrążone w realiach społeczeństwo wytwarza przeciwciała: prywatyzuje przedstawiany mu przez władzę zestaw talizmanów jako element osobistego kultu, którego celem jest maksymalizacja korzyści indywidualnych, rodzinnych, towarzyskich. Stąd, z jednej strony, wielka popularność zjawiska wotów dziękczynnych i błagalnych w polskim katolicyzmie realnym (będąca świadectwem autentycznej wiary w moc talizmanu), a z drugiej strony coraz częściej podejmowane ostatnio działania w sferze kultu, których zadaniem jest zwrócenie na siebie uwagi sfer rządzących zainteresowanych dalszym nasycaniem społeczeństwa ideą katolicyzmu politycznego (choćby niedawno zorganizowane

błogosławieństwo grupy Energa, której logo stało się tłem dla figury Matki Boskiej). Katolicyzm polityczny oznacza zatem w wymiarze indywidualnym hołdowanie dwuskładnikowemu zestawowi zewnętrznych praktyk, których imiona, jakże znane, to bigoteria i dulszczyzna, w nadziei na osiągnięcie lepszego miejsca w hierarchii społecznej. Efektem nasycania życia społecznego ideą komunistyczną (przy użyciu przemocy) był zanik społeczeństwa (w tym zanik biologiczny). Efektem nasycania życia społecznego ideą katolicyzmu politycznego (przy użyciu perswazji korupcyjnej) może być zanik religijności katolickiej jako aktu wiary opartej o spójny, logiczny i racjonalny porządek metafizyczny oraz rzeczywista hordyzacja społeczeństwa, przed którą polityczny katolicyzm miał je rzekomo uchronić.

O tym, że nasycanie ludzi politycznym katolicyzmem wcale nie chroni przed dalszą dekompozycją życia społecznego oraz narastaniem patologicznego indywidualizmu świadczy wciąż popularność partii i osobowości, które skrajny libertarianizm gospodarczy (będący w istocie ofertą programowej hordyzacji) opatrują wyżej opisanym zestawem talizmanów. To, co obecnemu kierownictwu państwa wydawało się doskonałą receptą na system paternalistyczno-opiekuńczy dla niezbyt refleksyjnego, ale konformistycznego społeczeństwa, może w swoim rezultacie doprowadzić do nawrotu jakiegoś typu stosunków neofeudalnych (*nowe średniowiecze!*), gdzie władza będzie należała do tych, którzy będą w stanie zapewnić bezpieczeństwo okolicznej populacji w warunkach całkowitej prywatyzacji życia. Stanie się tak wtedy, gdy realia życia polskiego (nepotyzm, korupcja, brak szacunku dla niebudzących skądinąd często szacunku przepisów prawnych) wezmą górę nad chwilową falą wzrostu nastrojów prosojalnych.

Najfatalniejszym dziedzictwem kolonializmu i komunizmu jest zjawisko przekłętej alternatywy między populizmem a elitami kompradorskimi, które realizację swoich interesów upatrują w uznaniu przez czynniki zewnętrzne. Ruchy populistyczne, patrząc z perspektywy determinizmu historycznego, stanowią wobec zastanych warunków neokolonialnych niewątpliwy postęp: uruchamiają mechanizmy redystrybucyjne, które wyrównują szanse i rodzą nadzieje na możliwość wykształcenia się normalnego społeczeństwa, gdzie różne klasy i grupy będą ze sobą rywalizowały i współpracowały zachowując jednak minimum przyjaźni obywatelskiej. Jak pokazuje jednak przykład Ameryki Łacińskiej, Rosji i innych krajów postsowieckich, populizm uruchamia jednocześnie czynniki (auto-)destrukcyjne: nadmierny radykalizm ekonomiczny prowadzący do masowej nędzy (Wenezuela), oligarchizację (Rosja, Argentyna), a w każdym razie przemoc będącą naturalnym efektem konfrontacyjnej retoryki. Nasycanie społeczeństwa mitami może przynieść chwilowe rezultaty w postaci podniesienia samooceny. Prowadzi jednak równocześnie do zaniku kontaktu z rzeczywistością, co zaczyna dotyczyć nie tylko rządzonych, lecz – co najgorsze – rządzących. Przykładem może być tutaj mentalność elit sanacyjnych w drugiej połowie lat 30.

Wydaje się, że nie ma drogi do przełamania dziedzictwa fatalnego mitu bez popadania w mity kolejne. W Polsce istnieją już poważne grupy społeczne zdolne do niemitologicznego patrzenia na rzeczywistość polityczną i społeczną, lecz w warunkach postkomunizmu zaszyły się w prywatność i w swoim dążeniu do osobistego sukcesu uznały za obrońców normalności ugrupowania kompradorskie. Poszkodowane (ekonomicznie i prestiżowo) masy społeczne odnalazły swoich rzeczników, którzy w warunkach nierównej walki politycznej potrafili

przełamać „imposybilizm” oraz uruchomić mechanizmy redystrybucyjne. Uznać to należy za akt sprawiedliwości historycznej o bezprecedensowym znaczeniu. Niestety polskie stronnictwo popularów zajęło się następnie scalaniem społeczeństwa wokół mitów historycznych, politycznych i religijnych, co do których nie ma w nim konsensusu, a które mogą poważnie zaciemniać ogląd rozwoju sytuacji międzynarodowej i wewnątrz krajowej. Totalitaryzmy dotknęły Polskę także w ten sposób, że pozbawiły ją (poprzez anihilację, korupcję lub po prostu przerwanie tradycji) pięknej warstwy radykalnej inteligencji, która potrafiła patrzeć na rzeczywistość w sposób racjonalistyczny, ale dla ogółu społeczeństwa nieobraźliwy; czasami może paternalistyczny, ale i altruistyczny. Środowiska, które w III RP były predestynowane do pełnienia roli następców Marii Dąbrowskiej, Edwarda Abramowskiego, Marii i Stanisława Ossowskich, Jerzego Stempowskiego, Jerzego Giedroycia, Stanisława Brzozowskiego, poniosły wielką moralną i ideową klęskę. Krzyk, jaki w tej chwili podnoszą, jest nie tylko aktem obrony ich partykularnych interesów, ale ma być może na celu uspokojenie wyrzutów sumienia za ogrom grzechów wobec wspólnoty.